



Grażyna Plebanek (Fot. Rafał Masłowski)

„Rozbójniczki. Opowieść o ważnych kobietach” to swoista kontynuacja wydanej prawie dekadę temu książki „Córki rozbójniczki”. Wtedy Plebanek opowiadała o postaciach literackich, które ją ukształtowały, a teraz – wplatając w narrację własne doświadczenia – pisze o tym, co dręczy kobiety. Bohatek – fikcyjnych, zapisanych w odległej historii i

19 na profilu facebookowym „Vogue Polska” oraz Osnova Publishing.

Rozbójniczki” ukazują się prawie dekadę po „Córkach rozbójniczki”. Tym razem piszesz głównie o kobietach, które istniały naprawdę.

Dekadę temu narastała już w nas, dziewczynach i kobietach, chęć, żeby się przeciwstawić. Parę lat temu w księgarniach w Wielkiej Brytanii pojawiły się regały literatury z nurtu „rebel girls”, w Polsce powoli też. Ruchy emancypacyjne bywały wtedy głośne, ale jednak pozostawały na marginesie. Dziś jest już inaczej. Dziewczyny, wydaje się, są *rebel*. A mnie zależało na odzyskaniu postaci dojrzałej kobiety. Jesteśmy dziewczęcnością obstarwione ze wszystkich stron, ale dojrzałości jest mniej. Tymczasem dojrzałość – chodzi tu również o wiek – zawiera w sobie bagaż doświadczeń, dzięki któremu możemy niuansować świat.

Dlatego z baśni Andersena „Księżniczka na ziarnku grochu” wydobywasz Królową? Od niej zaczynasz opowieść.

Wcześniej koncentrowałam się na tytułowej księżniczce. Ostatnio, kartkując książkę z ilustracjami Jana Marcina Szancera, zobaczyłam Królową. Jej postawa mówi wyraźnie: to kobieta, która wie. Dlatego skupiłam się na niej. Sama przeszłam już etap bycia księżniczką, teraz mam w sobie przenikliwość i luz psychiczny, który daje wiek.

Dlaczego dojrzałość wzbudza strach

Czy w ostatnich 10 latach pomiędzy „Córkami rozbójniczki” a „Rozbójniczkami” wydarzyły się w twoim życiu rzeczy formujące dojrzałość?

Może będziesz się śmiała, ale na pierwszym miejscu wymienię boks. Odkąd pamiętam, marzyłam, żeby umieć przykopać. Drażniła mnie wyuczona bezradność kobiet. Dorastałam w Polsce, gdzie zajęcia boksu dla dziewczynek nie istniały. Dorosłość spędzam za granicą, ale długo nie miałam czasu na sztuki walki. Życie rodzinne, praca, ogarnianie nowej rzeczywistości, języków, wejście w nowe kultury, to mnie pasjonowało. Wreszcie zajrzałam do klubu, obok którego przez lata przejeżdżałam. Stresowałam się, bo byłam jedną z najstarszych uczestniczek i jedną z kilku kobiet, poza mną były tam dwie czy trzy zarwodniczki zawodowe, a ja chciałam trenować amatorsko bez poważnego

Ułożyłam się z ciałem – dwa miesiące chodziłam z zakwasami, a jednocześnie widziałam, jak ciało się zmienia, jak wychodzą emocje. Przestałam przeproszać, gdy za mocno uderzyłam. No i grupa przyjęła mnie, nawiązaliśmy fajne kontakty, to też było bardzo ważne, bo w nowym kraju nic nie jest dane, wszystko trzeba sobie wywalczyć.

Drugim istotnym doświadczeniem są podróże, które dają zmianę kadru. To nie jest kwestia ostatniej dekady, wyjechałam z Polski 20 lat temu i natychmiast wyrzuciło mnie z szufladek. W Szwecji okazało się, że nikt nie zna polskich pisarzy, z rezerwą odbierano to, że Polka zajmuje się pisaniem książek. W Brukseli mieszkam od 15 lat. Początkowo rozmawiałam po angielsku, dopiero w sali bokserkiej zaczęłam odgrzewać francuski, którego nauczyłam się w liceum. Wyjście z angielskich struktur, przejście na francuski, czasem kolokwialny, też uczyło otwartości.



(Fot. Materiały prasowe)

Z doświadczeń nieoczywistych – boks, podróże i obce języki sprawiły, że pozbyłam się poczucia obciachu. A z tych życiowych, które mnie mocno ukształtowały, to macierzyństwo i bycie w związku. Najbliżsi nie mają pokusy, by unieruchomić mnie w stereotypowych rolach społecznych. Mam ich wsparcie, dajemy sobie przestrzeń na rozwój.

Dlaczego właściwie dojrzałość wzbudza strach?

Świat boi się dojrzałych kobiet, bo mamy wolne umysły, trudno nami manewrować. Wolny umysł oznacza umiejętność niuansowania świata, początek prawdziwego myślenia. Ładowane w nas przez lata stereotypy zdążyłyśmy zweryfikować. Mamy

A dlaczego kobiety boją się dojrzałości?

To zaszczość historyczna. Społeczeństwo patriarchalne jest uformowane jak farma drobiu – kury nioski są potrzebne, reszta idzie na rosół. Przez wieki rola młodych kobiet ograniczała się do tego, że miały rodzić, a młodzi mężczyźni wojować, one do reprodukcji, oni na mięso armatnie. Dyktat produktywności, żeby się opłacało. Małżeństwo było dla kobiet tym, czym dziś zawód – źródłem utrzymania. W zamian miały urodzić potomstwo, dlatego w cenie była młodość. Dojrzałość wyrzucała poza użytkowy model reprodukcji. I to w nas wciąż tkwi przymus podobania się z jednej strony, z drugiej – strach przed odrzuceniem, określeniem nas jako bezużytecznych w sensie matrymonialno-reprodukcyjnym. Pewną osobność zyskałyśmy niedawno, raptem od 100 lat możemy się kształcić, zarabiać, być finansowo niezależne.

Dojrzałość oznaczała dla kobiety gwałtowne skurczenie się szans na przetrwanie. Biedę, dosłownie. W większości krajów dobra wypracowane w małżeństwie należały prawnie do męża. Trudno się takiego systemu nie bać. Echo tego lęku w nas tkwi, bo mentalność zmienia się najwolniej.

Niuansowanie jest konieczne

Piszesz w książce, że presja na fizyczność przekierowuje energię życiową kobiet „na sprawy gównianej wagi”, czyli pielęgnowanie urody.

Wciąż rządzi nami przymus podobania się, co wykorzystują i podsycają handel i reklama. Kobieta, żeby wyjść w domu, musi się umalować, uczesać, wystroić. Mężczyzna myje się, ubiera i wychodzi. Kobiety uczą się od dzieciństwa, że mają przyciągać spojrzenia, bo fizyczna atrakcyjność oznacza większe powodzenie, kiedyś matrymonialne, dziś również zawodowe.

Kobiecy rynsztunek do podbijania świata przypomina mundur z XIX w. – paradny, taki, żeby go było widać. Ale dziś wiadomo, że skuteczność daje mundur typu „kamouflaż”. Jednak na rynku pracy kobiety wciąż maszerują w paradnych mundurach – szpilkach i makijażu, podczas gdy mężczyźni od dawna poruszają się w kamuflażu garnituru.

Konsekwencją tego jest zjawisko formatowania. W mojej pracy przejawia się to tak, że od 20 lat piszę mocne książki, w których mówię o poważnych sprawach – przemocy, roli

wyglądającej autorki. To też jest jakaś forma pozbawiana głosu.

To się powoli zmienia. Paradoksalnie, to lockdown uświadomił, że paradność w prezentowaniu się kobiet w świecie zewnętrznym jest nadmiernie rozbudowana. W XXI w. skuteczna jest wiedza, umiejętności, doświadczenie. Kobiety już to rozumieją, teraz trzeba do tego nagiąć resztę rzeczywistości. Póki co rynek działa w starym paradygmacie: hasło „siła kobiet” pojawia się w co drugim spocie reklamowym, nawet w reklamie bielizny.

Dużo mówisz o konieczności niuansowania. Czy w czasach, gdy wróg jest agresywny, naprawdę to takie ważne?

Dla mnie bardzo. Nie odnajduję się w nurcie uproszczeń, zakleszcza mi się w czymś takim umysł. „Jesteś z nami albo przeciwko nam” kojarzy mi się z czasami komunizmu, a nie chciałabym, żeby te mechanizmy znów zdominowały życie społeczne. Istotne jest, by znaleźć miejsce dla osób, które potrafią powiedzieć coś, co jest niepopularne, a wynika z ich doświadczeń, przemyśleń, jest dojrzałe. Kreowanie czarno-białego świata jest kuszące i dotyczy to obu stron barykady. Po naszej też można spotkać aktywistki i aktywistów, którym nie chodzi już o sprawę, tylko o własną popularność. Tymczasem trwanie w okopach nie posuwa spraw naprzód, jedynie daje sławę dowódcom. Niezbędne jest dostrzeżenie niuansów, społeczna dojrzałość, w której konwencja bajki już się nie sprawdza.

W „Rozbójniczkach” porzucasz więc baśnie na rzecz realu. Jak wybrałaś bohaterki?

Nie wybierałam ich z klucza, kierowałam się głosem serca. Ktoś może powiedzieć, że to żeńskie wartości, niepowiązane z rozumem, a z emocjami. Bardzo je cenię. Wiem z doświadczenia, że kiedy zaczynam myśleć o książce, dzieje się magia – temat działa jak magnes, nagle dostaję historie, które pasują do tego, o czym myślę. Ludzie przeważnie wstydzą się o tym mówić, bo to nieracjonalne, nielogiczne, a wbija nam się do głów, że tylko te wartości się liczą.

Kiedy wymyśliłam „Rozbójniczki”, zaczęły wpadać mi w ręce książki, których wcześniej nie znałam i z czasem ułożyły się w opowieść. Przypadkiem trafiłam w księgarni na książkę Sophie Fontanel – francuskiej dziennikarki, która nie farbuję włosów, pozwala, by były siwe. Jej historia pokazuje jak to, co naturalne, jest odrzucane, bo przymus zakłamywania wieku wciąż jest społecznym imperatywem. Janina Konarska,

dostrzec rzeczy zwykle spychane poza opowieść – drobiazgi codzienności. Podróżniczka Gertrude Bell korzystała z wolności przysługującej w jej epoce mężczyznom, a mimo to miała wątpliwości, czy kobietom należą się prawa wyborcze. To dało mi pretekst do opowiedzenia, że nie jesteśmy całe życie takie same. Gdyby oceniać Bell tylko po tym epizodzie, można by ją uznać za wsteczniczkę. A przecież nią nie była.

One wszystkie, a opowiadałam w książce o 14 kobietach, zainspirowały mnie do tego, by dopieść i własne doświadczenia. Chyba nigdy wcześniej tak dużo na swój temat nie ujawniłam.

Jak dyskutować w lockdownie

Skąd ta potrzeba własnego głosu?

Z dojrzałości.

Miałam osiem albo dziewięć lat, gdy usłyszałam od ojca, że kobieta powinna być odpoczynkiem wojownika. Wiedziałam, że to żart, ale i tak to zdanie mnie oburzyło. Wychowywana przez mamę i babcię, silne, mądre, niezależne finansowo kobiety, miałam świadomość, że to bzdura. Jednak szkoła, życie społeczne uczyło na każdym kroku, że kobieta ma być miła, cicha i uśmiechnięta. To dlatego w życiu dorosłym tak staramy się dorosnąć do cudzych oczekiwań.

Aż przychodzi moment, by odzyskać własny głos. Nie przejmować się, że mogą zlinczować w internecie albo zrobić sobie bekę. Trudno. Lekceważenie indywidualnego doświadczenia jest niestety normą. Podejmuję ryzyko i mówię o doświadczeniu nawet, jeśli słyszę: „dobra, ale eksperci mówią, że...”. Nie interesuje mnie generalizacja ani stereotyp.

Pisanie może być działaniem? Choćby na rzecz własnego głosu?

Chciałabym, żeby było zaproszeniem do dyskusji. Wiem z doświadczenia, czym jest niepewność siebie, z książek dowiedziałam się, skąd ona się wzięła i książki pomogły mi zmienić wzór myślenia. Uzmysłowiłam sobie, że można sensownie zabierać głos, mimo że nie jest się tak zwanym autorytetem w jakiejś dziedzinie, z tytułem naukowym i pieczętką. Zrozumiałam, dlaczego samej sobie nie dawałam prawa do odzywiania się.

jest ważny, porozmawiajmy o tym". Jako czytelniczkę też ciągnie mnie do książek, mogą wywołać dyskusję, a nie dają quasi-recepty.

Można dyskutować w lockdownie?

Z trudem. Media społecznościowe, dokąd przeniosły się spotkania literackie, spłaszczają dyskusję. Trudno jest zastąpić spotkanie z czytelnikami w realu. Wiele z nich, organizowanych w przedpandemicznych czasach, pamiętam do dziś. Na przykład w bibliotece w Żorach dyskusja o literaturze zmieniła się w dzielenie się doświadczeniami i wynikała z tego zupełnie inna, ciekawa rozmowa.

Dla mnie takie spotkania są ważne, bo podważają hierarchiczność relacji autor/autorka – czytelnik/czytelniczka. Autor nie musi być alfą i omegą ani gwiazdą pop. Marzę o tym, by literatura była żywa, żeby samotnicze akty pisania i czytania połączyła rozmowa, głębsza niż odpytywanie: „skąd pani czerpie inspiracje do swoich książek”.

Pandemia może przynieść nam coś dobrego?

O prognozach dla świata nie chcę mówić, bo każdy tu chce być ekspertem, a kończy odtwarzając obiegowe opinie. Jeśli chodzi o moje własne doświadczenie, kolejne lockdowny nie były szokiem związanym ze zmianą trybu codzienności, bo od lat pracuję w domu i znam na wylot techniki radzenia sobie z tą „jednością czasu, miejsca i akcji”. Musiałam oczywiście zrezygnować z podróży, ale to akurat okazało się zbawienne – pozwoliło głębiej przemyśleć pewne rzeczy.

Być może ten czas sprawi, że poukładamy sobie w głowach myśli bardziej demokratycznie. Odważymy się usłyszeć własne, zamiast gorączkowo szukać autorytetów. Zobaczymy świat w złożoności, dostrzeżemy, że nie jesteśmy jedyni, bo oprócz ludzi żyją tu – wciąż jeszcze – inni mieszkańcy i mieszkanki. Może o tym wreszcie porozmawiamy, z pasją.

Nie przesądzam, podrzucam myśli.

■ *Grażyna Plebanek „Rozbójniczki. Opowieść o ważnych kobietach”, wydawnictwo OsnoVa*